

Przyszłość można wybrać, opierając się na przeszłości

O tożsamości zbiorowej Polaków i polityce pamięci z Tomaszem Merta, historykiem idei, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego rozmawiają Tomasz Stefanek i Piotr Szlagowski.

Zacznijmy od pojęcia tożsamości zbiorowej. Nie brak bowiem opinii, zgodnie z którymi to pojęcie zaśmieca język naukowy. Padają zarzuty antropomorfizacji: tożsamość, która może być jedynie atrybutem jednostek, zostaje przypisana zbiorowościom, a przecież tylko jednostki posiadają świadomość, z którą związana jest tożsamość. Czym więc jest tożsamość zbiorowa i czy w ogóle istnieje? Jakie są jej składniki?

Każde zagadnienie naukowe można oczywiście przedstawić przy pomocy takiego języka, w sposób tak skomplikowany, że zaczynamy wątpić w jego sens. Rzeczy nie należy jednak przesadnie komplikować. Warto spróbować uciec od języka właściwego naukom szczegółowym. Wspólnoty ludzi ze swej natury są czymś połączone, muszą zawierać pewien element wspólnego odczuwania i przeżywania świata, bo na tym polega istota wspólnoty i tym się ona różni od innych form ludzkiego współistnienia. W tym sensie można mówić o tożsamości zbiorowej. Z takim zastrzeżeniem, że członkowie wspólnoty, szczególnie dużej, są ludźmi pod każdym względem różnymi, o odmiennych doświadczeniach, odmiennym poziomie wykształcenia i nie tylko. Równocześnie jednak istnieje pewien zespół symboli, emocji, zbiorowych wspomnień, również o wydarzeniach, których się samemu nie przeżyło, ale które istnieją w przestrzeni życia zbiorowego. To wszystko organizuje wspólnotę i tworzy pewien kod, który umożliwia komunikację w ramach wspólnoty i pozwala jej członkom wzajemnie się rozumieć. Istnieje więc tożsamość zbiorowa, która jest wspólnotą pewnych emocji, uczuć, symboli, rozpoznawalnych dla członków zbiorowości. Można budować konstrukcje intelektualne, w których widoczny będzie sposób przeżywania świata, charakterystyczny dla pewnej wspólnoty, np. dla Polaków w okresie I Rzeczypospolitej i dziś. Konfederacja jako gwałtowny sposób reagowania społeczności obywatelskiej na nadzwyczajny stan zagrożenia Rzeczypospolitej znajduje potem naturalną kontynuację w powstaniach. W pewnym sensie prawomocność rządu powstańczego jest prawomocnością władz konfederacji. Konfederacja jest związkiem obywateli, którzy nie są wybrani, lecz przez samo ogłoszenie ustanawiają się przedstawicielami całego narodu. Prawomocność rządu Powstania Styczniowego wywodzi się z tego samego sposobu myślenia, trwale obecnego w Polsce. „Solidarność” też nosi jego cechy. Jest konfederacyjna, bo opiera się na przekonaniu, że w sytuacji szczególnej część wspólnoty może stać się przez samo ogłoszenie reprezentantem całości, działać w imieniu całości, organizować ją, a nawet wydawać jej polecenia. Tożsamość można odkryć nawet głębiej niż na poziomie symboli, emocji i wspomnień historycznych, choćby w formach działania publicznego, w pewnej koncepcji religijności, które nas określają w dużo większym stopniu niż nam się wydaje. Łatwo na przykład poprzestać na stwierdzeniu, że polskie społeczeństwo obywatelskie jest słabe a ludzie nie chcą wchodzić do sfery publicznej. Poważniejszym wytłumaczeniem są zaszłości komunistyczne czy ponad sto lat życia w warunkach zaborczego państwa, kiedy aktywność społeczna organizuje się przeciwko państwu, a nie w jego ramach. Ale można też powiedzieć, odwołując się do zbiorowej tożsamości, że Polacy okresu I Rzeczypospolitej to „narod domowy”, republika sąsiedzka. Ich życie w sposób naturalny przebiegało w kręgu rodzinnym, przyjacielskim i sąsiedzkim. Nie odczuwano potrzeby dodatkowych form angażowania się w sferę publiczną. Dla polskich poetów i pisarzy w XVII wieku było obojętne, czy ich dzieła

drukowano w Warszawie. Większość kultury literackiej rozpowszechniano w rękopisach i odpisach, odczytywanych wśród sąsiadów. Miarą sukcesu była ich liczba. Być może jest to ciągle ten sam „domowy naród”, może istnieje łącznik między tym co było, i tym co jest.

Czy spójność i powszechność tożsamości zbiorowej nie jest jednak fikcją? Obok siebie istnieją przecież różne tożsamości zbiorowe. Nawet tym samym wspomnieniom, treściom, symbolom można nadawać różne znaczenie, czego wyrazem są choćby różne formy religijności.

Prawie każde uogólnienie można poddać w wątpliwość, wskazując detal, który posłuży do jego zakwestionowania. Łatwo zwątpić wówczas w sens formułowania wszelkich ogólnych sądów. Ja uważam, że uogólnienia są uprawnione i przydatne, choć stosując je, gubimy pewne wątki. Jeśli twierdzi się, że Grecy myśleli w pewien sposób, to oczywiście można zaraz powiedzieć, że cynicy myśleli inaczej. Nie wynika z tego jednak, że nie da się wskazać charakterystycznego greckiego poglądu, a przynajmniej poglądu jednego, głównego nurtu filozoficznego. Wydaje się, że można stworzyć pewien uogólniony obraz pewnej tożsamości, najszerzej obecnych cech i sposobów reagowania, które najsilniej odcisnęły się w krajobrazie przeszłości danej wspólnoty. Nie znaczy to wcale, że należy natychmiast zapomnieć o innych sposobach opowiadania i rozumienia przeszłości, czy reagowania na rzeczywistość. Uprawniony jest na przykład sąd o polskiej religijności, że była ona żarliwa, chociaż raczej nie bardzo gwałtownie teologiczna i niezbyt zaangażowana w takie poszukiwania. Chodziło raczej o to, by z pomocą symboli religijnych, w drodze głębokiego przeżycia religijnego interpretować rzeczywistość, także społeczną i polityczną, tu i teraz, w mniejszym stopniu o to, by rozpoznawać tajniki metafizyczne świata pozaziemskiego. Chociaż znajdziemy w polskiej historii także mistyków i znawców teologii, takie uogólnienie jest uprawnione. Ten typ religijności był w Polsce najbardziej rozpowszechniony, co jest zresztą źródłem pewnego negatywnego stereotypu. Można go bowiem zrekonstruować tak, jak uczyniłem to przed chwilą. Można jednak powiedzieć, że jest to religijność aintelektualna, niemądra, odruchowa, w istocie prymitywna. Ale mówimy o tej samej religijności, prawda?

Na tożsamość zbiorową składają się zatem doświadczenia historyczne i charakterystyczne dla wspólnoty sposoby reagowania. Czy, nawiązując do pojęcia pamięci aksjologicznej, którym posługuje się Dariusz Karłowicz, można mówić także o pewnych wartościach?

Z pewnością nie chodzi wyłącznie o przeżycia historyczne, ale również o emocje i symbole, także o wartości. Istotne jest jednak, w jaki sposób to wszystko staje się elementem tożsamości zbiorowej. Tą drogą jest bardzo często religia, doświadczenie przeszłości, które określiło taką właśnie formę wspólnoty, czy wreszcie rodzaj tekstów, które się powszechnie czyta. Na pewno od Romantyzmu w Polsce kluczowe znaczenie ma pewien zbiór tekstów literatury romantycznej, konstytutywny dla naszego sposobu przeżywania świata. W latach 90-tych głoszono zmierzch paradygmatu romantycznego, ale według mnie nie wpłynęło to na tożsamość zbiorową, ponieważ wartości rozpowszechnione w drodze recepcji literatury romantycznej są nadal bardzo ważne. Warto zaznaczyć, że literatura oddziałuje nie tylko na tych, co czytają „Kordiana”, ale także na tych, którzy nie czytają. Nie jest rzeczą obojętną, jakich książek się nie czyta, jakie były zadane. Nie zawsze przecież wszyscy uczniowie dzielnie brnęli przez wszystkie lektury, ale mimo to zestaw lektur decydował o ich obrazie świata. Przeprowadzono kiedyś wśród maturzystów badanie, w którym najpierw zapytano o lektury, które sprawiały im trudność, a następnie o te, które ich zdaniem powinny czytać w szkole ich dzieci. To były te same lektury. Istnieje zatem pewien konsensus. Nie wywołuje to

może u wszystkich rumieńców emocji i fascynacji, ale jesteśmy przekonani, że pewien kod komunikacyjny jest dla nas wszystkich bardzo istotny.

Jakie jest znaczenie tożsamości zbiorowej dla wspólnoty? Czy ma ona wpływ na podejmowanie decyzji, gotowość do poświęceń, poczucie odpowiedzialności za tę wspólnotę?

Łatwiej się takie pytania zadaje niż na nie odpowiada. Jaki jest realny skutek tożsamości indywidualnej? Jeśli człowiek w pewien sposób odczytuje świat i interpretuje go, to ułatwia lub utrudnia komunikację z innymi, wpływa na sposób jego działania, ocenę różnych zdarzeń. Myślę, że podobnie jest z tożsamością zbiorową. W sposób naturalny pewne zjawiska zyskują znaczenie pozytywne lub negatywne, są bardziej lub mniej do przyjęcia. Nie jest wcale łatwo rozstrzygnąć, które konkretnie, czy przewidzieć określony sposób reagowania. Wpływ tożsamości zbiorowej jest nieuchwytny, lecz rzeczywisty. Po głębszym namyśle można próbować wskazać, co jest kluczowe w polskim idiomie. Na tym jednak polega nieuchwytność, ale rzeczywistość tożsamości zbiorowej, że nawet jeśli nie stworzymy teraz takiej listy, to każdy sam domyśla się i czuje, co powinno się na niej znaleźć.

Czy można wyobrazić sobie wspólnotę polityczną bez zbiorowej tożsamości, jako zbiór zupełnie niezależnych jednostek? Jakie to może mieć skutki?

To niemożliwe ze względu na samo znaczenie słów. Wspólnota polityczna jest pewną wspólnotą, i to nie tylko wspólnotą procedur czy interesów. Odwołując się do rozróżnienia, które czyni Giovanni Sartori, można sobie wyobrazić społeczeństwo, które jest oparte wyłącznie na konsensusie proceduralnym, dotyczącym sposobu podejmowania decyzji politycznych. Jeżeli jednak chcemy mówić o wspólnocie politycznej, musi istnieć domniemanie tego co wspólne. Obok konsensusu proceduralnego pojawić się musi mniejszy bądź większy konsensus podstawowy co do wartości, ideałów czy celów.

Jaki był stosunek III RP do przeszłości? Niektórzy twierdzą, że w ogóle nie prowadzono w Polsce polityki historycznej, inni – że jej istotą było uznanie własnych historycznych win oraz przekonanie, iż nie trzeba troszczyć się o obecność w przestrzeni publicznej pozytywnych treści i ocen narodowej historii.

W pewnym sensie są tą dwie strony tej samej monety. Brak polityki też jest formą wyboru politycznego. Samo pojęcie polityki historycznej jest kłopotliwe ze względu na bardzo negatywne konotacje pojęcia polityki. Polityka przesunęła się z ważnej sfery życia ludzkiego w sferę makiaweliczną, kierującą się wyłącznie zasadą skuteczności, w której nie istnieje właściwie żadna moralność, dobro i zło. Jeżeli polityka jest tak niebezpieczna, to każda polityka szczegółowa też zaczyna być groźna. Taki sposób postrzegania polityki historycznej, wzmocniony skojarzeniami z PRL, prowadzi nas na manowce. Zamiast o odpowiedzialności państwa za tę sferę, mówimy o woli państwa manipulowania nią. Trzeba od razu powiedzieć, że nie o to chodzi. Lęki osób, które twierdziły, że państwo powinno się zdecydowanie z tej sfery wycofać, były uzasadnione, jeśli przez politykę historyczną rozumieć coś między manipulacją historyczną i propagandą. Tego rodzaju polityka historyczna była prowadzona przez władze PRL i jest to istotnie rzecz ryzykowna. Podjęto zatem decyzję polityczną o wycofaniu państwa z tej sfery na tyle, na ile to możliwe. Państwo bowiem zawsze jest w niej w pewnym stopniu obecne, np. kiedy ustala podstawy programowe.

Jednocześnie pojawiło się w naukach historycznych, a na pewno zaczęło dominować w debacie publicznej, przeświadczenie o tym, że w postrzeganiu przeszłości najważniejsze jest

podejście demaskatorskie, a perspektywa historii krytycznej najbardziej uprawniona. Uderzające było przekonanie, że los historii bohaterskiej, pozytywnej, afirmatywnej jest niezagrożony, a nawet więcej: należy rozbić ten anielski obraz, pokazując strefę cienia. Po raz pierwszy w wolnym kraju można było prowadzić badania i mówić o tym, o czym się nie mówi, kiedy nie wolno oraz wtedy, kiedy toczy się dramatyczny spór o losy tego kraju. To oczywiste i naturalne, że tak należało czynić. Natomiast zakłócony został porządek mówienia. Dla mnie polega on na tym, że historia krytyczna jest pewnym dopełnieniem historii, a nie podstawowym sposobem mówienia o niej. Zasadniczo mówimy o pewnym zdarzeniu historycznym, przekazujemy pewien zbiór informacji historycznych, ktoś inny stwierdzi, że budujemy mitologię. A dyskurs historii krytycznej ma charakter zaprzeczający – tak, ale.... . Oczywiście byliśmy bohaterami, ale byli też szmalcownicy. W tym sensie historia krytyczna jest niezbędna, ale mam wątpliwości, czy opowieść o roli Polaków w II wojnie światowej powinno się zaczynać od szmalcowników. Oni się powinni pojawić, ale nie na pierwszym miejscu. Dodatkowo Andrzej Nowak zwrócił uwagę na to, że dla wspólnoty konstytutywne jest raczej poczucie dumy, a nie poczucie wstydu. Ja dodałbym, że dopiero wspólnota, która ma pewne poczucie własnej wartości – nie wyższości, tylko wartości – jest w stanie zmierzyć się z tym, co było złe w jej przeszłości. Innymi słowy należy wymknąć się z huśtawki, w której Polacy się znajdują, między kompleksem wyższości a kompleksem niższości i próbować budować bardziej dojrzały sposób myślenia i mówienia o własnej przeszłości. Nie powinniśmy postrzegać naszych dziejów jako historii peryferii, które zawsze zacierają ku katastrofie. Nad stronicami polskich podręczników, choć bardzo się one zmieniły, wciąż unosi się technienie kompleksu niższości: jest jakiś główny nurt modernizacji i rozwoju cywilizacyjnego, a Polska jest zawsze albo w drodze na manowce, albo już na manowcach. Od tego pewnie należałoby odejść i zastanowić się nad tym, co było w polskiej historii ciekawe i oryginalne. A jednocześnie odważnie stawić czoło temu, co nie było piękne. Jeżeli stanowimy wspólnotę, to nasza odpowiedzialność obejmuje nie tylko to, co dobre, ale również to, co złe w naszej przeszłości. Odrzucam argument liberalny, zgodnie z którym jesteśmy odpowiedzialni za siebie, ale nie za swoją wspólnotę, na rzecz podejścia konserwatywnego: przyjmujemy zarówno dokonania przodków, jak i ich przewiny.

Być może próba eliminacji pamięci historycznej ze sfery publicznej po roku 1989 wynikała także z tego, że inteligencja oceniała podejście władz PRL i komunistycznej propagandy do przeszłości zupełnie inaczej niż reszta społeczeństwa. „Solidarność” pokazała, że Polakom bardzo brakowało narodowej symboliki, rocznicowych obchodów historycznych wydarzeń, możliwości pokazania, że doceniają i kontynuują dokonania poprzednich pokoleń. Wśród inteligencji, zwłaszcza po marcu 1968 roku, powszechna była natomiast świadomość wszechogarniającej nacjonalistycznej i pseudo-patriotycznej propagandy PRL.

Chcę jednak przypomnieć, że w roku 1968 wydarzeniem, które emocjonowało młodą inteligencję, było zdjęcie „Dziadów” z repertuaru Teatru Narodowego. Trudno zatem mówić nawet o większej części inteligencji, co najwyżej o pewnym nurcie intelektualistów, którzy pozostawali w kręgu oddziaływania „szyderców”. Problemem PRL nie było jednak to, że „szyderycy” szydzili, lecz to, że nie pojawił się inny język intelektualny, przy pomocy którego można by było dobrze mówić o patriotyzmie i polskości. To sprawiło, że zaistniał on w formie karykaturalnej, czy kalekiej. „Szyderycy” zajęli całą przestrzeń, w której nie znalazło się miejsce na godne mówienie o Polsce, więc doczekali się niegodnego mówienia o Polsce, czyli nurtu „moczarskiego”. To znaczy, że istniała pewna potrzeba, która spotkała się z odpowiedzią. Kłopot jest ten sam, co w przypadku historii krytycznej. Twierdzono, że istnieje jakaś twarda tożsamość narodowa, która sama się reprodukuje i stanowi potworną skamielinę

bardziej nawet megalomańską, niż ksenofobiczną. W tę skamielinę trzeba cały czas stukać, żeby ją rozbijać. A to nie jest prawda. Ani to nie jest tak megalomańskie, ani samo się nie reprodukuje. Wyniki badań pokazują, że Polacy wcale nie są obsesyjnie przekonani o swojej wartości, czy pozycji „pępka świata”, przeciwnie – są raczej podszyci kompleksem niższości. „Szydercy” uważali, że tylko ten sposób krytycznego mówienia o Polsce jest potrzebny, bo ten drugi zawsze sam się odnajdzie. Z „szydercami” jest ten sam problem, co z zimną kąpielą. Krótkotrwała – pobudza krążenie w żyłach, ale zbyt długa – prowadzi do wychłodzenia organizmu. A to jest ryzykowne. Ja pozostaję przy swojej koncepcji równowagi między elementami afirmatywnymi i elementami krytycznymi.

Projekt polityki historycznej jest skierowany do szerszego ogółu, nie tylko do profesorów historii. Czy podziela Pan obawy związane z dokonywaniem w zawsze skomplikowanej historii zbyt daleko idących uproszczeń na potrzeby przekazu popularnego?

Czy mają Panowie problem z tym, że historia w IV klasie szkoły podstawowej jest uproszczona? Oczywiście, wszystko co wartościowe w życiu ludzkim jest obarczone ryzykiem wypaczenia i wykołajenia. Wiemy, co działo się w przeszłości ze szlachetną ideą równości. Idea wolności, podobnie jak każda inna, nie jest pozbawiona swojego ryzyka. Wszystko, co jest twardsze, bardziej zobowiązujące, niesie ryzyko. Jednak z drugiej strony życie pozbawione głębszych wartości i celów nie byłoby w pełni ludzkie, pozostawałoby niedokonane.

Jeśli chodzi o przekaz historyczny, to naturalnie nie odbywa się on na jednym poziomie. Stąd moje pytanie o czytankę historyczną dla IV klasy szkoły podstawowej. Istnieje obieg naukowy i obieg popularyzacji. Co innego mówimy uczniom w IV klasie, co innego – gimnazjalistom i licealistom, a jeszcze co innego – studentom. Popularyzacja nie jest przeciwieństwem prawdy historycznej, tylko świadomym podkreśleniem tych treści, które dla danej grupy odbiorców wydają się być najważniejsze, najbardziej potrzebne. Dzieciom opowiada się o Konstytucji 3 Maja jako o pięknym momencie odrodzenia narodowego, o powrocie z zapaści własnym wysiłkiem, o zdolności naprawy ustroju. Kiedy potem dodaje się informację o Targowicy, okazuje się, że mieliśmy do czynienia z pewnym dramatycznym konfliktem. Jeszcze później, i to już w ogóle nie jest temat dla dzieci, można poruszyć inne kwestie, choćby wartości samej Konstytucji. Rzecz jest kłopotliwa i kontrowersyjna. Konstytucja, która nie weszła w życie a w naszych dziejach miała znaczenie symboliczne, wprowadzała pewne rozwiązania, co najmniej dyskusyjne. Choć uchodzi za wyraz demokratyzacji ustroju, nie tylko ustanawiała dynastię na tronie królewskim, ale odbierała prawa wyborcze znaczącej grupie obywateli – szlachcie gołocie. Przekaz się komplikuje, ale to nie znaczy przecież, że mówimy dzieciom nieprawdę o akcie odrodzenia i naprawy państwa. Mówimy prawdę, ale nie całą, komplikujemy ją z czasem, zależnie od możliwości percepcyjnych i zainteresowań odbiorcy. Nie wydaje mi się, aby popularyzacja była przeciwna badaniu naukowemu, aby zagrażała prawdzie historycznej. Być może w warunkach zakazu prowadzenia badań historycznych, ale ja uważam, że państwo powinno na szeroką skalę wspierać takie badania.

Robert Traba stawia inne zarzuty projektowi polityki historycznej. Wskazuje między innymi zagrożenia tożsamości mniejszościowych i regionalnych. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówił na przykład: *W kulturze historycznej w ogóle nie ma zrozumienia dla tego co nazywam <nie naszą> spuścizną kulturową, a to jest kawał przestrzeni Polski. Bez ustosunkowania się kreatorów nowej polityki historycznej do kwestii patriotyzmu regionów i spuścizny wielonarodowej Rzeczypospolitej ich projekt nigdy nie*

będzie wiarygodny. Pozostanie krótkowzroczną akcją polityczną, która nie wprowadza nowej jakości do naszej refleksji historycznej?

Odnoszę wrażenie, że motorem wielu argumentów krytycznych jest projekcja własnych lęków. Robert Traba wyobraża sobie, co my myślimy, choć to wcale nie jest prawda. Według mnie jedną z zasadniczych wartości idiomu polskiego była różnorodność kultur, stylów życia, fakt, że one ze sobą współistniały i wzajemnie się uszlachetniały. Trwała opozycja między makronarracją narodową i narracjami mniejszościowymi, regionalnymi czy lokalnymi jest pozorna. To są różne porządki mówienia. Początek XXI wieku, ostatnie dziesięciolecie to czas, kiedy jesteśmy szczególnie wrażliwi na kwestie mikronarracyjne. Jest to bowiem obecnie najlepszy, najbardziej wiarygodny sposób mówienia o historii, który jest w stanie trafić do ludzi. Najłatwiej dziś zainteresować słuchacza lub czytelnika, pokazując historię przez pryzmat indywidualnych losów. Mikronarracje stają się zatem podstawą przekazu. Nie rozumiem, dlaczego opowiadając o historii Polski nie można mówić również o wszystkich tych, którzy tutaj żyli. Wśród krytyków pojawia się również domniemanie, zgodnie z którym my odrzucamy koncepcję narodu polskiego jako kreacji politycznej, której istotą jest akces do pewnego zbioru wartości, form instytucjonalnych czy kulturowych, na rzecz koncepcji etnicznej. Cóż powiedzieć – to domniemanie jest niesłuszne.

Jaka powinna być w przekazie popularnym proporcja między treściami martyrologicznymi a podkreśleniem zdolności Polaków do tworzenia pozytywnych konstrukcji politycznych. W Izraelu na przykład na pierwszym miejscu stoi martyrologia, ale tuż za nią jest pamięć o odrodzeniu państwa, zdolności do odnowy. Gdzie szukać równowagi?

Rozumiem, że nie oczekują Państwo ode mnie odpowiedzi procentowej. To jest kwestia pewnej wrażliwości. Obraz walki o wolność jest romantyczny i malowniczy. Ze swej natury jest niezmiernie cenny edukacyjnie i musi znaleźć się dla niego miejsce. Warto jednak, mówiąc o insurekcyjnych podstawach polskiej tożsamości, pokazywać bohaterów walki o wolność nie tylko jako rycerzy przegranej sprawy. Często myśli się o powstańcach jak o straceńcach. Walka o wolność w takim ujęciu stoi w sprzeczności z rozumem i zdrowym rozsądkiem. Niejednokrotnie jednak jej podstawą była kalkulacja, wiara w rzeczywiste zwycięstwo. Obraz straceńców, którzy hołdują lekkomyślnym odruchom, przynosi fatalne skutki. Należałoby go skomplikować, ponieważ procesy historyczne są bardziej złożone. Warto pokazać realne motywacje i kalkulacje nawet, jeśli były błędne. Powstańcy warszawscy nie chcieli przecież dokonać całopalenia Warszawy i złożyć w ofierze siebie wraz z miastem. Zakładali raczej, że ta operacja przyniesie powodzenie przynajmniej w postaci przejęcia kontroli nad miastem w momencie wkroczenia wojsk sowieckich. Ich kalkulacja była zapewne błędna. Można powiedzieć, że decyzje zostały podjęte pochopnie, na podstawie niewiarygodnych przesłanek. Przesadne wydaje się jednak twierdzenie o dominacji w polskiej historii postaw lekkomyślnych, świadczących o braku rozumu politycznego.

Z drugiej strony na pewno potrzebujemy więcej nie tak efektownych opowieści o czasach, kiedy Polska istniała, i o ludziach, którzy ją wówczas budowali. Dominuje bowiem perspektywa, w której Polska zawsze albo walczyła o wolność albo się psuła. Tymczasem wydaje się, że co najmniej do połowy XVII wieku Polacy umieli tworzyć interesujący system instytucjonalno-demokratyczny. Dziś jest to szczególnie ważne ze względu na nasze obecne wartości i procedury. Niekoniecznie powinniśmy stać po stronie Stańczyków w krytyce demokracji szlacheckiej, ponieważ piętnują oni w historii I Rzeczypospolitej to, co sami dziś uznajemy za słuszne. Trudno twierdzić, że dla nas demokracja jest dobra, a naszym przodkom przydałby się tyran. Umiejętność tworzenia instytucji społeczeństwa obywatelskiego w czasie

zaborów, budowa II Rzeczypospolitej to wiele realnych, fascynujących działań Polaków, które są świadectwem zdolności rozsądnego zagospodarowywania przestrzeni wolności, a nie tylko walki o nią. Wydaje mi się zatem, że należy dążyć do równowagi, nie rezygnując oczywiście z tradycji insurekcyjnej, która jest stale obecna w naszym dziedzictwie.

Cezary Michalski zwrócił kiedyś uwagę na łamach „Gazety Wyborczej” na skłonność polityków, zwłaszcza wywodzących się z opozycji demokratycznej, do angażowania się w spory historyczne, podnoszenia kwestii historycznych dla usprawiedliwienia własnej nieudolności w innych sferach działania politycznego: *Historia nie uratuje teraźniejszości, nie usprawiedliwi, ani nie osłoni. To jedynie teraźniejszość może uratować historię.*

Te obawy dotyczą chyba czegoś innego. My podejmujemy, po pierwsze, pewien wysiłek nad stworzeniem możliwości badawczych dla historyków. Uważamy, że to jest bardzo ważne. Po drugie, chcemy wspierać działania służące popularyzacji historii, raczej w kontekście dyskusji o naszej tożsamości niż w kontekście bieżących sporów historycznych. Cezary Michalski, jak rozumiem, pisze o tym, że politycy tłumaczą swoje niepowodzenia, opowiadając taką historię z krótkim oddechem, współczesną, znajdującą się jeszcze w strefie rozrzedzonej między polityką a historią. Świadkowie historii żyją, wciąż działają na scenie politycznej. Używanie argumentów krótko-historycznych w dyskursie politycznym może rzeczywiście prowadzić na manowce. Postkomunizm oczywiście ciąży nad Polską, ale nie wszystkie problemy, nie każdy przypadek korupcji można tłumaczyć w ten sposób. Istnieje ryzyko, że wskazywanie wyłącznie historycznych przyczyn obecnych problemów może przeszkadzać w ich rozwiązywaniu. To jest jednak dość odległe od polityki historycznej, o której rozmawiamy.

Po roku 1989 Polska przyjęła pewien program modernizacyjny. Czy dzisiejszy powrót do przeszłości, celebrowanie kolejnych rocznic Powstania Warszawskiego, otwarcie muzeum, projekt Muzeum Historii Polski, nie kwestionują ostatniego 17-lecia?

Mitem jest przekonanie o istnieniu jednej drogi modernizacji. Są różne drogi. Chodzi o to, aby w Polsce ta ścieżka modernizacyjna, podobnie jak w innych krajach, ulegała odkształceniu przez kontakt ze wspólnotą polityczną i z jej kulturą. Rzecz nie w tym, żeby Polski nie modernizować, ale w tym, by ją modernizować na sposób polski. Jeśli przyjrzymy się poszczególnym krajom, to zobaczymy, że nie ma jednej drogi modernizacji. To co uniwersalne istnieje tylko w swej lokalnej specyfice. Niedobrze jest myśleć o historii jako o czymś, co nas odstręcza od myślenia o przyszłości. Przyszłość można wybierać, odwracając się plecami do przeszłości, albo opierając się na niej. Ja uważam, że należy się na niej oprzeć. A to nie znaczy, że zamykam oczy na przyszłość.

Tomasz Merta - historyk myśli politycznej, publicysta, ekspert edukacyjny. Magister filologii polskiej (absolwent Wydziału Polonistyki UW), absolwent podyplomowej Szkoły Nauk Społecznych przy IFiS PAN oraz studium doktoranckiego na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych UW. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Generalny Konserwator Zabytków. W latach 2000-2001 doradca ministra kultury i dziedzictwa narodowego, a w okresie 2001-2002 dyrektor Instytutu Dziedzictwa Narodowego. Konsultant merytoryczny w Centrum Edukacji Obywatelskiej, współautor licznych programów nauczania i podręczników do wiedzy o społeczeństwie, historii i przedsiębiorczości (m. in. *Z demokracją na ty, Przewodnik młodego obywatela, KOSS, Z ekonomią na ty, A to historia!*). Współautor metodycznych poradników dla nauczycieli (m. in. *Jak oceniać uczniów?, W stronę konstytucjonalizmu, Edukacja prawna i obywatelska,*

Comparative Lesson for Democracy). W latach 1996-1998 asystent w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Współautor i współredaktor książek publicystycznych *Pamięć i odpowiedzialność* (2005) oraz *W obronie zdrowego rozsądku* (2000). W latach 1996-1999 członek zespołu redakcyjnego „Res Publici Nowej”, a w okresie 1996-2000 polski korespondent „East European Constitutional Review”. W latach 2000-2002 redaktor naczelny „Kwartalnika Konserwatywnego”. Publikował także m. in. w „Znaku”, „Życiu”, „Rzeczpospolitej”, „Gazecie Wyborczej”, „Przeglądzie Politycznym”, „Więzi”, „Newsweeku” i „Ozonie”.